

Pietkiewicz Antoni

DZIECIOBÓJCA

Obrazek z wiejskiego żywota

Było to przy końcu maja. Pogodny wieczór zajrzawszy przez
otwarte okno do mojej
chatki, oderwał mię od książki i gwałtem na przechadzkę
pociągnął. Przywdziawszy
więc słomiany kapelusz i uzbroiwszy się gruszkowym kijem,
ruszyłem bez celu, ot
tak, gdzie nogi poniosą, i ani się spostrzegłem, jak przez
gobelkę i mostek
wyszedłem na pocztową drogę, wysadzoną staremi wierzbami,
ciągnącą się wzdłuż
stawu między łąką i niwą, do ciemnej dąbrowy przytykającą.
Zrazu pogrążony w zadumie, nie zwracałem uwagi na
otaczające mnie cuda, i tylko
machinalnie sięgając do kapelusza, odpowiadałem na wieki
wieków amen,
pozdrowiają-

cym mię w Imię Zbawiciela, wracającym z pola wieśniakom, i
szedłem dalej i
dalej. Lecz gdy uroczysty głos dzwonu, wzywający na Anioł-
Pański, obudził mię z

dumania, gdy ze znamieniem krzyża podniosłem oczy ku
niebu, zaczęta modlitwa
skonąła na ustach, dusza padła na twarz przed tronem Boga,
stanąłem w
osłupieniu! — Cóż to za uroczą była owa chwila! Chwila
nieszporów całej natury w
wielkim natury Kościele. Pod lazurową kopułą wspaniałą,
skowronki dzwoniły
niwom, gajom, łąkom i rzece na pacierze; Boże anioły
zapalały lampy, a na
zachodzie stał cudowny ołtarz z obrazem Stwórcy
Przedwiecznego, przysłoniętym
świątą purpurową gazą; słowik uroczysty hymn śpiewał,
wietrzyk, wstrząsając
kwieciste turybularze, rozlewał wonne kadzidła, a ludy i
drzew, i kwiatów, i
kłosów, i fali pokłon oddawały Bogu i ciche modły szeptały. I
mimowolnie i łzą i
westchnieniem cześć Stwórcy oddałem; a jak brzoza w gaju,
jak kłos na niwie,
trawka na łące, fala na rzece pod przelotem wiatru, duch mój
padł na twarz pod
przelotem uroczystych myśli:
Marzyłem cudnie, srodze mię zbudzono!
Zbudzono brzękiem łańcucha!... Z niebios przeniosłem wzrok
na ziemię, i
spozregłem o kilkadziesiąt kroków od siebie, nieopodal od
jakiejś chatki, pod
krzyżem na rozdrożu, między dwoma żołnierzami stojącymi z
bronią na ramieniu,
klęczącego starca, który oczy i ręce wznosząc ku niebu,
zdawał się modlić

głęboko. Kajdany, które miał na nogach, zbudziły mię z
dumań, silniejsze
zrobiwszy wrażenie, niżli dźwięk dzwonu na Anioł-Pański, co
jeszcze nie ustał.
Cóż to za zbrodniarz, pomyślałem sobie, który na dźwięk
kościelnego dzwonu, z
tak głęboką skruchą pada na kolana?
I niepoohamowaną zdjęty ciekawością, z wolna zwróciłem

się ku tamtej stronie, by mimo figury przechodząc, zbliżka się
przypatrzeć
interesującej mię postaci. Przeszedłem niepostrzeżony, i
niepostrzeżony usiadłem
na przyzbie chatki przeciw krzyża, i oczu od starca oderwać
nie mogłem.
Mógł on mieć najmniej lat sześćdziesiąt, pięknej budowy,
odziany biało, z białą
jak śnieg brodą spadającą na piersi, z kilką kędziorami białych
jak śnieg włosów
rozwianemi po obnażonej szyi, z pięknem lecz bladym jak u
trupa obliczem i
błękitnymi jak niebo oczyma, pod siwymi brwiami na
wyniosłym czole, — na
klęczkach pod krzyżem, z rękoma i łzawym wejrzeniem
wzniesionemi ku niebu, z
ciężkim łańcuchem na nogach, oblany złotym odbłaskiem
zachodu, zdawał mi się
jakaś nadziemską postacią, apoteozą nieszczęsnego chłopca.
I modlił się, modlił gorąco; rzewne łzy, spadając mu na siwą
brodę, świeciły jak

kropla rosy na mchu pokrywającym zwałony burzą pień
starego dębu.

Mój Boże! myślałem sobie, — czyliż podobna, aby ten
człowiek mógł być

zbrodniarzem?... Biada wam sędziowie, jeśliście go już
potępili, boście potępili
niewinnie! Sam stanę na strasznym sądzie świadkiem
nieprawości waszej!

Podniósł się zwolna, i z głową smutnie zwieszoną postępując
między żołnierzami,
zbliżył się do chatki, pod którą siedziałem.

Powstałem, i uchylając kapelusza, — Niech będzie
pochwalony Jezus Chrystus —
rzekłem.

Jak gdyby iskrą elektryczną tknięty starzec zadrżał cały, i z
zadziwieniem

zwrócił na mnie oczy, dziwnym ożywione blaskiem.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekłem

raz jeszcze podchodząc ku niemu. Czy nie mógłbym wam
czem służyć, dziaduniu?

Łzy mu potokiem rzuciły się z oczu, porwał mię za rękę, i
cisnąc ją do zimnych

ust swoich, wołał rzewnym głosem, przerywanym łkaniem:
— "Bóg zapłać, dobry mój panie! Bóg zapłać za przyjazne
słowo!... Nic mi nie

potrzeba!... potrzeba mogiły cichej, krzyża nad mogiłą i
modłów za duszę. Mogiły

dać mi nie możecie; to pomodlcie się czasem, — to, kiedy
wieczorem posłyszycie

ten dzwonek, mówiąc Anioł-Pański, wspomnijcie Koźmę
biednego! A za przyjazne
słowo, a za litościwe serce Bóg wam zapłaci!... O! to wy nie
wiecie, i
bogdajbyście nigdy nie doznali tego, jak to ciężko sercu, kiedy
człek cierpi
niewinnie! i jak jeszcze cierpi!... Od wioski do wioski, od
miasta do miasta, w
kajdany okuty, jakby zbójca jaki, wlokę się nieszczęśliwy
starzec niedołęga, a
ludzie po drodze palcami wskazują, ze strachem, gniewem,
przeklęstwem lub
urąganiem spoglądając na mnie!... Sto mil już przeszedłem, a
dotąd nikt jeszcze
litośnie nie spójrzył, nikt nie pozdrowił w Imię Pana Boga!...
Wy jedni tylko,
wy jedni! I błogosławię was, jak Boga w niebie; alem
niewinny, niewinny, dobry
mój panie!"
I znowu łzy rzewne rzuciły się z oczu starcowi, i znowu
ująwszy mą rękę, tulił
do ust drżących.
Żołnierze, poczciwe jakieś ludziska, łagodnie słuchali skarg
biednego starca,
nie przerywając mu przykreimi słowy. Wiedząc z
doświadczenia co za ulga sercu,
gdy może przed kim żale swe wynurzyć, prosiłem ich, aby
zechcieli przyjąć
kieliszek wódki i zakąskę, a pozwolili starcowi o swej niedoli
pogwarzyć.
Zgodzili się chętnie, usiedli na przyzbie i wzięli się do jadła,
oświadczywszy
że tutaj będą nocować. Starzec usiadł

przy mnie, kilka chwil dumał czy marzył, smutnie chwiejąc
czołem wspartem na
dłoni; nareszcie westchnął głęboko, spojrział ku południowej
stronie, łzę zrzucił
z oka, i tak mówić zaczął:

"Patrzcie, dobry panie, hen tam, między południem a
wschodem, te dwie
gwiazdeczki, jak sobie miarkuję, to jak raz nad moją chatą
świecą. Było ich trzy
niegdyś, i świeciły jasno i wesoło, jak oczy Bożych aniołów;
nigdy tak chmury
nieba nie zawlekły, by dla nich chociaż malutkiej, chociaż na
minutkę szczelinki
nie było; to też wesoła i jasna była dola nasza! Przed rokiem
zagasła jedna,
gwiazdka mego Janka; Matka Przenajświętsza wzięła ją z jego
duszczką do raju;
moja tylko świeci i mej biednej Zoni, jakby krwią oblane, bo
też i krwawa nasza
smutna dola!"

"A w tamtej stronie, mój miły panocze, to kraj Podolski. Ach!
żebyście widzieli
nasze drogie sioło! nasze chatki czyste, bielusieńkie, co po
górach siedzą wśród
kwitnących sadów, jakby orły białe, jarami się ciągną, jak
łabędzi stado, i
życiem i weselem grają, jak młody rój pod słońcem. O! to też
doprawdy za starego
pana (daj mu Boże niebieskie królowanie) wioska nasza była,
jak w najlepsze lato

pasieka odborna; a w każdej chacie szczęścia i radości, jak
plastrów miodu w
ulach na podkopach, a biegliśmy do pracy, jak pszczoły po
ciepłym deszczu na
hreczkę lub gaj lipowy w kwiecie. A pan choć brał miodek,
nie mieliśmy krzywdy;
a w złą godzinę, to i nas hodował. Panował nad nami, jak
ojciec nad dziećmi, nie
jak pan nad chłopem; to też i zwaliśmy go nie panem, lecz
Bat'kiem, a panią,
matką nie panią. Lecz panicz nie był nam bratem, i jak. stał
panować, to jak sto
niedźwiedzi! i wszystko nam wy. darł, by sobie miodu
chmielnego nasycić; a
kąpiąc się w miodzie, nigdy nie był syty, a myśmy z głodu
ginęli."

"U starego pana służy dobrze płatni i miłowani jak dziatki,
miłowali go,
służyli wiernie i dobra jego strzegli usilniej niż swego; a nikt i
nie słyszał
nawet o złodzieju. A panicz za służbę, chciał płacić jednym —
złem słowem,
drugim — batogiem; a znęcając się nad ludźmi i niszcząc
głodem, kraść i
złorzeczyć wyuczył. Bywało, staremu panu potrzeba dziada do
pasieki, parobka czy
dziewki do dworu, to tylko się odezwie: dzieci! kto chce u
mnie służyć? — a

każdy bieży ochoczo, bo wie, że krzywdy nigdy mieć nie
będzie i łaskę pańską
zarobi. A paniczowi jak trzeba służby do dworu, to ekonomy
idą z nahajkami i jak
bydłęta do jatek spędzają na pałacowy dziedziniec zawodzące
dziewki lub starce;
a kogo panicz wybierze, to aż serce się kraje, patrząc jak
biedny wyrzeka z
rozpaczy, jak cała siemja żałośnie zawodzi, jakby na mogile."
"Nie wiem, jak tam biedni dalej wytrzymają! Ledwie dwa lata
panuje, a już ani
jednej sterty w całej wiosce nie ma, (u niego tylko dwa toki
stoją zawałone
zbożem, jeden pogorzał na mą biedną dolę!) a trzecia część
ludzi rozeszła się po
Bożym świecie. Bo to, panocze, wy nie dacie wiary co to za
bezbożnik! Boże nie
pamiętaj! Dał mu Bóg dostatek gruntu — Za starego pana
niewiele chat było, ale
siemje duże lekko i ochoczo i sobie i jemu pracowały. A
panicz wziął się na
mądre sposoby: pobudował chaty, pokupował pługi,
powydzierał rodzicom dorodną
działwę-podporę, siłą pozeńił, siłą poosadzał w chatach, siłą
ponarzucał parowe
grunta, za chaty i woły pokarbował długi, i pędzi biednych do
roboty, trzy dni z
powinności, trzy dni na odrobki i męża i żonę, a w chatach
dzieci mrą z głodu,
lub się kaleczą bez matki i niańki, a parowe pole i ogród tylko
świnie orzą, a
wiatr burzanem zasiewa!... Ej! serdeczny panie, twarde
chłopskie serce,

zahartowane w niedoli;

ale i żelazo pęka i rdza się przetrawia. Niejeden wyrzekł się
nie tylko chaty i
gruntu i pługa, ale i żonę i dziatwę porzucił i w świat
powędrował. Nie jeden
złapany, do krwi batożony, znów poszedł po świecie, i znów
powrócił w dybach, i
skatowany znów uciekł! Byli i tacy, których nareszcie panicz,
ot jak i mnie
biednego w Sybir popędził, i poszli z ochotą, bo coś jakby
Boży głos w sercu
słyszeli, że tam lepiej będzie... I jeszcze wydziwiał i hańbił nas
biednych złem
słowem wśród ludzi! A bo to leniwcy! a bo to łajdaki! nawet i
dla siebie nic
robić nie chcą, pola odłogiem leżą!... Jemu bo się zdaje, że
chłop, nie to że
odpocząć, ale ani jeść, ani spać, ani chorować nie powinien;
że, jak on z żoną
wyruszy w pole, to mu Anieli Bożi zamiotą chatkę, chrustu
nazbierają, w piecu
zapalą, jeść nagotują, chleba upieką, krówki podoją, chudoby
dójrzą, bieliznę
wypiorą, kądziałkę uprzedą i krośna wytką! A zapomina
biedny, że u nieszczęsnego
chłopa nie ma ani marszałka dworu, ani zgrai lokajów, coby
mu służyli; nie
pomyśli o tem, że po cudzym karku jeździć to lżejsza praca,
niż nawet woły

poganiać ! Bo to on, serdeczny panie, i to nazywa pracą, jak zapisuje ile mu kassjer odda, a ile on przeje, albo przepije, albo w karty przegra tego cośmy uzbierali swoim krwawym trudem, lub co mu ojciec poczciwy zostawił.

Oj nie tak było za starego pana! Już to i on pracował tylko po pańsku, lecz

umiał i naszą ocenić pracę i nie wydziwiał. Bat'ko nasz w sercu nas nosił, i każdy ból nasz on pierwej poczuł, niżli nasz płacz posłyszał.

Pamiętam, panie, dziesięć lat temu, wybrany przez niego Hryhor na ekonoma naszej wioski, myślał,

że się przypodoba jemu znęcając się nad nami, i siadł nam na karku! Oj! ciężko

nam było nieprzywykłym jeszcze! Źle jakoś było skarżyć się na swego; starsi

upominali go i grozili, ale nic nie poma-

gało, bo jeszcze gorzej nam było! To i radziła gromada, coby tu począć? A nim

uradziła, już bat'ko nasz o wszystkim wiedział, i jak dziś pamiętam, w sobotę

przed Świętą Trójcą, wezwał gromadę do siebie, a z nią i Hryhora. Mój miły Boże!

cóż to się działo! Pierwszy i jedyny raz w życiu widziałem naszego bat'ka tak

zagniewanego! Co to tam z Hryhorem dziać się musiało, kiedy ja niewinny, prosto

obumarłem ze strachu! Zrazu to jakby iskry leciały z oczu, a głos był taki, jakby grom w chmarach; lecz nagle łzy mu puściły się potokiem i przygasiły ogień oczu i oblicza, i głos rozmiękczyły:
— "Ach! niepoczciwy! mówił — czyż ja na to ciebie postawił nad bracią, nad moimi dziećmi, żebyś ich katował. Alboż ty niewiesz, że ciało ich, to moje ciało, że serce ich, to moje serce, że co ich boli, to mnie boli! Także to ty chciałeś mi służyć? pozbawiając mnie miłości moich dobrych dzieci, krzywdząc ich w imieniu mojem!! A ja myślałem, że brata postawiwszy nad braćmi, świętą sprawiedliwość mieć będę; że chłopiek chłopkiem tak jak Bóg przykazał kierować będzie; że i ja i wy lepiej z nim wyjdziecie niżli z szlachcicem, obcym wam sercem."

A polem zwróciwszy się do nas:

"Panowie gromada! sami naznaczcie mu karę za to, że nie miłował was jak braci."

A myśmy padli mu do nóg i rzekli:

— Wybaczcie bat'ku! i niech mu Bóg tak wybaczy, tylko nam dajcie innego!

— "To kogoż chcecie? zapytał pan, a oblicze jego świeciło, jak majowe słońko.

A wtedy cała gromada.....

Tu starzec powstał, z dumą wznosił czoło i dłonią podparł się w boki.

A wtedy cała gromada krzyknęła: Koźmę! Koźmę dajcie nam
bat'ku!

I drżące słowa w łkaniu utonęły; padł wysilony na przyzbę, i
twarz ukrywszy w
dłoniach, szlochał jak dziecko.

Po chwili tak dalej mówił:

"Tak, serdeczny panie, cała gromada, jak jeden głos, ranie
wykrzyknęła!"

"Odtąd nie było dnia, żebym u pana wieczorem, w jego
własnym pokoju, z godzinę
nie gawędził sam na sam. Och! co to było za serce! Ośm lat
mu służyłem, jak
chyba Bogu już służyć będę; miłowali mnie ludzie, a ich
uczyłem dobrego pana
miłować. I kiedy, siedm lat temu, pan zawołał nas znowu do
siebie, aby nam
powiedzieć, że chce nam dać wolność; tośmy z głośnym
płaczem upadli mu do nóg,
błagając, by nam ojciec nasz dalej panował, i nie wypuszczał
nas z swojej
opieki. Oj! nie przeczuliśmy co z syna będzie."

"Wybaczcie, panocze, staremu gadule! Już was znudziłem
pewno; a jeszcze i nie
zacząłem prawić o swej własnej biedzie. Ale już posłuchajcie
do końca
cierpliwie, a Bóg wam zapłaci; bo to lżej sercu, jak się człek
człeku
litościwemu poskarży."

"Bóg mnie błogosławił. Miałem grunt parowy, dwa silne pługi
i cztery chabety,
orałem za skibę uboższym sąsiadom; a z pańską pszeniczką
chodząc do Odessy,

nieraz i swojej trochę się sprzedawało. Miałem oprócz tego z półkopy owieczek i kilkoro krówek, a cztery karmne wieprzaki co rok na jarmarku. Nie koniec na tem: do mnie po węgierki ludzie o kilka mil jeździli, a żydzi się darli za mój piękny miodek, bo sto pni co rok kładłem do temnika, a drugie tyle w półbeczki. To i nie dziw, że grosz się w skrzyni gromadził przy Bożej łasce." "Ożeniłem się jak raz ósmego lata po wojnie z Francu-

zem. Bóg zdarzył mi żonę bogobojną, poczciwą, cichą a pracowitą, dobrą gospodynię, dobrą matkę dzieciom. Przed ową straszną zarazą, co to ją ludzie cholera zwali, miałem już trzech chłopców i dwie dziewczki. Wszystkie się w matkę udały: najstarszy miał już lat dziesięć, najstarsza dziewięć, i serce mi rosło z radości, kiedy bywało, wróciwszy z pola, obaczę jak moja dziatwa zwawo się uwija, zabawkę z pracy zrobiwszy: jedno krówki poi, drugie podwórko zamiata, trzecie rosadę w ogrodzie polewa, najmłodsze nawet kureczki z kurczętami od jastrzębia strzeże, bo najstarszy chłopiec to już i drew narąbać umiał, i woły do pługa zaprządz, a nieraz nawet ze mną w pole chadzał, i konie na nocleg wodził, choć i potrzeby tego nie było, bo dwóch najmitów i dwie najmiczki

miałem."

"Przyszła godzina Bożego gniewu! Ach! dobry panie, trudno wypowiedzieć, trudno wyobrazić, co się wówczas działo!... Widzieliście tę straszną plagę zaprzeszłego lata; ale to Pan Bóg tylko napominał nie karał. A wtedy... Boże mój, Boże! siedm dni tylko straszna gościa pogościła u nas, siedm dni dzwony oddzwoniły, pieśni żałobne brzmiały i płacz nie ustawał rzewny, a trzy morgi pola krzyżami się zasiało, trzy części wioski pustkami stanęły! i nie było chaty, gdzieby nie powstała ona, gdzieby nie zabrała kogoś, mnie tylko, mnie Bóg ochronił!"

I znowu starzec dłonią zakrył oczy i zamilkł, a z gwałtownego poruszenia piersi znać było, że żal łez falą w serce mu uderzał. Po chwili westchnął i tak mówił dalej:

"Czy to zli ludzie urzekli mi moją dolę, dziwiąc się i wykrzykując: szczęśliwy! szczęśliwy! (Ach! bo to szczęście bardzo płochliwy ptaszek! ostrożnie przy niem chodzić potrzeba; a nie, to zaraz pyrchnie!) czy to ja grzeszny nie umiałem godnie podziękować Bogu za zmiłowanie Jego nad-

zwyczajne; sam już ja nie wiem! Ale minął już tydzień od ustania zarazy, kiedy

straszna gościa, jakby przypomniał sobie, że u mnie
jeszcze nie była,
wróciła, by zajrzeć i do mojej chaty."
"Jak dziś pamiętam, w niedzielę z południa... wróciłem z
cerkwi, a chociaż
modliłem się gorąco, chociaż kochany nasz dobrodziej
pocieszał nas Bożem słowem,
ucząc, byśmy dziękowali Bogu za to, że nas przy życiu
zachował, byśmy w
modlitwie wspominali zmarłych, ale nie zapominali się w
żałku, a po dawnemu
ochoczo biegli do pracy, i poprawę życia zrobili, by drugi raz
gniewu Bożego nie
ściągnąć, (prawił serdeczny, a łzy mu gradem sypały się z
oczu, bo i sam dziatki
pochował, — i wszyscyśmy płakali, na twarz upadłszy w
pokorze); chociaż wróciwszy
zasiadłem z całą siemją zdrową i wesołą boży dar spożywać;
jednak coś mi na
sercu tak było ciężko, tak ciężko, że i łyżki strawy przełknąć
nie mogłem, a łzy
kto wie czego, ciągle się po oczach snuły, i mimowoli w
uszach odzywało się
ciągle nocne, żalosne wycie naszego Żuczka i hukanie sowy
na dachu. Żona wesoło
krzątała się przy stole, dziatki szczebiotały jak ptaszęta w
maju, żwawo się
zwijając koło pirogów z czereszniami ze śmietaną; ja tylko
jeden siedziałem
smutny, jakby kto na mnie uroki nasłał."
"Oj przeczuwała moja biedna dusza!..... Ostapek mój nagle
zajęczał, posiniał,

pozieleniał cały i upadł na ziemię, targając się z bólu. Jak
szalony wybiegłem z
chaty, i ręce łamiąc, i włosy rwąc na głowie; wołałem biegnąc
przez wioskę:
ratujcie! ratujcie nas dobrzy ludzie! I nic nie odpowiadając na
pytanie: co się
przydarzyło? biegłem do dworu i państwu do nóg upadłszy:
ratujcie! wołałem."
"Oni oboje z doktorem i dobrodziejem naszym przez cały czas
zarazy, i nie
dosypiali, i nie dojadali, ale od chaty"

do chaty chodząc, nosili ratunek dla duszy i ciała. I teraz,
rzuciwszy gości, z
doktorem i z lekarstwami, nie czekając koni, biegli w ślad za
mną litościwi
państwo. Oj śpiesznie biegli aż się zadychali, ale nie
wyprzedzili śmierci!...
"Wbiegliśmy do chaty. Tam już było kilku sąsiadów da
sąsiadek; odcierali octem i
spirytusem, da ogrzewali rozpalonemi cegłami Maryjkę i
Hryhorka, a dobrodziej
klęczał przy trupie Ostapka i modlitwy mówił. Matka rzuciła
się państwu pod
nogi, i obejmując je rękami, i całując i oblewając łzami,
dzikim krzyczała
głosem: ratujcie! ratujcie! Nie wstała już biedna! zczerniała
jak ziemia, oczy
stały słupem, i łza nie kanęła!... Przybiegła moja Olanka, by
ją od stóp

pańskich oderwać, i sama przy niej upadła, jęcząc i zębami
zgrzytając z

boleści!... Janek tylko, najmłodszy, siedział w kącie pod
piecem i płakał, nie

wiedząc czego; a ja, nieprzytomny, szalony, tylko włosy
rwałem i piersi tłukłem
pięściami!"

"I doktor, i państwo, i nasz dobrodziej, i dobrzy sąsiedzi, sami
się zalewając

łzami, robili wszystko co tylko mogli, By biednych chorych
ratować; — wszystko

napróżno! Straszna śmierć brała jedno po drugim!... już tylko
matka została, i

wszyscy z ratunkiem rzucili się do niej,"

"Pobiegłem do komory. Tam w skrzyni leżało u mnie ze dwa
garńce karbowańców,

zabrałem je w poły, przyniosłem doktorowi, i ukląkszy przed
nim, jak przed

obrazem świętym: panie, prosiłem — oto całe moje bogactwo,
wszystka moja praca

krwawa, weźcie to wszystko, tylko mi żonę ratujcie! weźcie i
woły, weźcie i

konie, i całą chudobę, zabierzcie sobie pasiekę, dwieście pni
pasieki! i trzy

sterty zboża, wszystko sobie weźcie, ot i tę siermięgę, ot i tę
koszulę nawet;

tylko ją ratujcie! miły, serdeczny panie!"

ratujcie! ratujcie! — I wysypawszy mu karbowańce pod nogi,
całowałem jego kolana
ze łzami."

"Pocziwa dusza! rzewnemi zalał się łzami, i zda się duszęby
oddał, żeby ją
ratować!... we trojgu z państwem własnymi rękami odcierali ją
i podawali jej
lekarstwa; a dobrodziej się modlił. Przypełzłem do niego na
klęczkach i stopy
jego całując, wołałem: Ojcze! dobrodzieju! zlitujcie się
nademną!... może wy
jaką modlitwę znacie! może uprosicie Boga! zlitujcie się ojcze
miłosierny! — I
on się modlił, płacząc i czołem bijąc przed obrazem!... Lecz
Bóg zagniewany
modlitwy nie wysłuchał i lekomec odjął!... skonała biedna
Hanna moja! my tylko
z Jankiem zostali sieroty!"

"Nazajutrz dobrzy sąsiedzi zrobili cztery trumny, zaprzęgli po
parze czarnych
wołów do dwóch wozów, zabrali moje pociechy i ruszyli w
drogę za popem z pieśnią
żałobną. Zawieźli na cmentarz, i wszystkie czworo w jednym
wielkim grobie pod
zielonym dębem złożyli."

"Ja sam już nie wiem, co się ze mną stało? Czy to łzy
wszystkie już wypłakałem,
czy serce w kamień się obróciło, czy dusza obumarła z
wielkiego żalu.... jakbym
nic nie czuł, jakbym nic nie widział, szedłem za grobem jak
śpiący; ani łzy
jednej, ani pacierza, ani jednego słówka, jakby ze skały."

"Ludzie się rozeszli, oddawszy chrześcijańską posługę; ja
tylko jeden zostałem
pod dębem, a przy mnie pocziwy Żuczek. Widząc to ludzie,
wrócili, zaczęli coś

mówić, perswadować; ja nie ruszałem się z miejsca. Przyszedł i Dobrodziej, i takó¿ cós mi przekładał; ja nic nie rozumiałem, jakbym nic nie słyszał, i nic nie widział. Chcieli mię gwałtem do domu prowadzić; ja się ująłem dęba tak silnie, że

żadnym sposobem oderwać nie mogli; Żuczek ich tylko pokaleczył jeszcze."

"Poszli, ja zostałem; Żuczek położył się na mogile i wył przez noc całą; ja stałem pod dębem jak otrętwiały."

"Rankiem, bez myśli, powlokłem się do chaty, i nie zajrzawszy do środka, usiadłem na progu; Żuczek położył się przy moich nogach, i, smutnie patrząc mi w oczy, zawył czasami żałośnie."

"Przyszła Horpyna, poczciwa moja sąsiadka, przyjaciółka nieboszczki Hanny, prowadząc Janka za rękę. Niebożę, spostrzegłszy mnie, z radością rzuciło się do mnie na szyję, zaczęło obejmować i całować, pytając gdzie matka, bracia i siostry?"

"Nagle, jakbym odżył, przejrzałem posłyszałem i pojałem; a serce tak zabolalo, tak zabolalo, jakby je kto nawskróś ostrym nożem przebił! Zacząłem płakać głośnie

i zawodzić; i ani pieszczoty Janka, ani pocieszające słowa sąsiadów w żalu mię ukoić nie mogły. Płakałem dzień cały, płakałem noc całą, nie wstając z progu."

"Nazajutrz rano przyszedł pań z panią, i po swojemu zaczęli mi perswadować i w żalu koić, i jakoś do prawdy niby lżej mi się zrobiło. Zacząłem niby to się krzątać koło gospodarstwa; ale gdzież tam mogłem co zrobić, kiedy mi światu nie było widać za łzami! Bo gdzieś tylko zajrzał, wszędy przedemną stały drogie postacie mej żony i dziatki. Czy kwoczka zagdacze, czy krówka zaryczy, czy jagnie zabeczy; zaraz mi moje pociechy drogie na myśl przychodzą, i łzy zalewają oczy. A tu jeszcze Żuczek nieboraczysko, słaniając się z głodu, chodzi z kąta w kątek i ciągle wyje! Tylko jak bywało z smutku powiekę się płakać na cmentarz; to on poweseleje, zaszczeka radośnie i wskok za mną bieży, a potem położywszy się na mogile

smutnie zawywa. To tak biedaczysko za Ostapkiem płakało, bo się oni taki razem zhodowali; to też i zdechło wkrótce na cmentarzu."

"Tak szły dni za dniami; gospodarstwo marniało, chudoba ginęła; a ja, to w progu chaty, to na mogile, to z gorzką myślą, to z gorzkiemi łzami."

"Ot jednego razu, według zwyczaju, poszedłem płakać na cmentarz. Nie wiem już ile nocy nie spałem, ile dni prawie nie jadłem; wiem tylko, że ledwie nogi włączyłem z osłabienia. Płacząc da rozmawiając z mogiłą, i skarżąc się na sieroctwo swoje, przesiedziałem pod dębem aż do świtania, nie zmróżywszy oka; ale o świcie sen mię jakoś zmorzył, a rozżalona dusza, wykradłszy się z ciała, na tamten świat poszła."

"I zdało mi się, że z kosą na ramieniu, torbą na plecach, i z hlakiem wody u pasa, szedłem siano kosić nad rzeką. Słonko tylko co wstawać zaczynało, i ledwie połowę swego jasnego oblicza pokazało światu, a rozciełając promienie po łące, jakby jakie nitki złotej pajęczyny, nizało na nie roznobarwiste kropelki rosy, jak piękne paciorki od cudownego obrazu Bogarodzicy; a jaskółki, gzygzając rażno, chwytaly je w locie z kwiateczków i ziołek. Skowronki dzwoniły, słowiczek szczebiotał, wilgi poświstywały i zuzula kukała. Przechodząc koło figury, ukląknę, pomodliłem się Bogu, i jakoś mi było tak lekko, tak zdrowo, tak radośnie w sercu, że mimowoli jak ptaszę zacząłem wesołą piosnkę, zadzwoniłem w kosę kamiennym bruskiem, i wyostrzywszy jak brzytwę, zapuściłem ją w zieloną a bujną trawę, i szedłem dalej a dalej wzdłuż brzegu rzeki z pracą i pieśnią.

Zdawało mi się, że już z dziesięć godzin robiłem, a słońko
ciągle na miejscu
stało; rzeźwiący wietrzyk skakał po łące, ptaszęta śpiewały, a
miedzy mojej

przydybać nie mogłem. A z każdym krokiem piękniejsza
trawa na łące, czystsza
woda w rzece, błękitniejsze niebiosa, miłsze ptasząt śpiewy.
Nareszcie wszedłem
w dąbrowę i zdawało mi się, że to była moja; ale osłupiałem z
podziwu, kiedy
spozregłem, co się w niej działo!... Już ja wam tego nie
wypowiem!. musiał to
być raj, miły panocze!... Upadłem na twarz oślepiiony
cudowną jasnością,
oczarowany anielskimi głosy, i zacząłem modlić się i płakać.
Aż tu ktoś na mnie
zawołał: — Wstań Koźmo! i patrzaj i słuchaj, a uważaj pilnie
co obaczysz, i co
posłyszysz. Powstałem. Przy mnie stał Michał-Archanioł; —
poznałem go od razu,
bo jak raz był taki, jak u nas w cerkwi na Carskich wrotach
wymalowany, ze
złocistemi skrzydłami, i z błyszczącym mieczem, i w
błyszczącej stalowej
zbroicy" ...
"Rajskiego ogrodu ja wam nie opiszę, bo z czemże go
porównam i z kąd słów wezmę,
kiedy na ziemi nic takiego nie ma?! Wiem tylko, że się ciągnął
długo i szeroko,

bo aż o brzegi nieba dokoła się opierał; a niebo to nie było
zwyczajne niebo,
ale przezroczyście jakby szkło najczystsze, i widać przez nie
było anioły Boże, i
Apostołów, i Matkę Najświętszą, i Chrystusa Pana, i Ducha
Świętego w jakiejś
złotej jasności, którą całe niebiosy gorzały, a która w środku
niebieskiego
grona świeciła najmocniej, jakby sto słońc razem!., musiało to
być oblicze
samego Boga"...

"W rajskim ogrodzie narodu moc niezliczona! a u każdego jak
śnieg białusienkie
szaty, a lice jak u anioła, a oczy jak gwiazdy złote, i wszyscy,
padłszy na
kolana i patrząc w ową jasność wielką, śpiewają jakąś pieśń
świętą, a taką miłą,
a taką radośną, że wiek byś jej słuchał i wieki słuchaćbyś
pragnął, o całym
zapomniawszy świecie."

"Jak się moje oczy oswoiły z rajską jasnością, spostrzegłem że
tuż koło mnie
klęczała moja Hanna, a przy niej i

dziątek troje. I na nich były jak śnieg białe szaty, i lice jak u
aniołów, i
oczy jak gwiazdy złote, ale nie śpiewali pieśni z innymi, a w
twarzy czarny
smutek leżał, a oczy łzami świeciły! Z żalu się wziętem za
głowę, zacząłem

płakać i wyrzekać głośno: o Hanno moja! czyliż Bóg
miłosrdny nie zmiłował się
nad tobą, że troskasz się tam, gdzie inni się radują? A ona
rzekła: — Bóg się
zlitował, i mybyśmy się radowali z innemi; ale ty radość nam
psujesz, trapiąc
się i w żalu tonąc, a zabywając pracy, a zabywając Janka
biednego, którego Bóg
tobie na pociechę jeszcze zostawił. Zostaw umarłych Bogu, a
żywym służ cnotliwą
pracą; i nie moglię łzami, a pole pocziwym potem idź
zlewać."

"Tu otwarłem oczy.... z dęba zerwały się cztery gołąbki i
znikły w obłokach; a
słońko dobrze już wstało. Padłem na kolana podziękować
Bogu za to, że mi zesłał
duszczyki mojej żony i dziatki, by mię ostrzegły o grzechu.
Ostatni raz
ucałowałem i łzami zlałem drogą mogiłę i śpiesznie ruszyłem
do domu. Najpierwej
zabrałem od dobrej sąsiadki mojego Janka, umyłem go,
ubrałem, uczesałem,
zmówiłem z nim pacierz, nakarmiłem; a potem pobiegłem po
wsi szukać najmitów, i
znalazwszy, rzuciłem się do dworu, by pana przeprosić, że się
zaniedbał w
pracy: przebaczył mi, jak dobry ojciec dziecięciu i jeszcze
słówko pociechy
powiedział. Wróciwszy naprawiłem bezładzie koło chaty."
"Nazajutrz z dwóma parobkami na łące zagrałem w kosy, a
sen wczorajszy ciągle
stał mi w myślach i siły krzepił. Odtąd znowu wszystko poszło
po dawnemu;

wróciło zdrowie, i dostatek dawnym popłynął korytem, mniej
tylko było radości,
mniej wesela w chacie i w sercu!"
"Miałem ja wtedy ledwie lat czterdzieści, i dobrzy sąsiedzi
raili, bym drugi raz
się ożenił, ale mi ciągle jeszcze

żał za nieboszczką było!... a przytem żal było i Janka, bo to
powiadają ludzie:
macoszyne serce, a zimowe sionko to wszystko jedno.
Podziękowałem im za uprzejmą
radę, a żony nie wziąłem i sam się stałem Janczyną matką — i
więcej jak matką!,
bo on był dla mnie i moją Hanną, i moim Ostapkiem, i moją
Olanką, i moim
Hryhorkiem i Maryjką moją! całą radością, całym szczęściem
mojem! To też go i
strzegłem jak źrzenicy w oku! Bywało, czyli to w pole, czy to
na łąkę, czy do
lasu, czy to na tok pański, on za mną wszędzie, na krok
nieodstępny; a z mała
patrzac na mą szczerą pracę, wcześniej się pracy wyuczył, i w
szóstym już roku
był silny i rostopny jak dziesięciolatek, a hoży, aż miło
patrzeć!"
"Smutno mi tylko było, że jak przyjdzie jesień, a zima, to on
niebożatko nie ma
z kim poigrać, poswawolić. Latem to się dziatwa zbierała na
moje podwórko na
zabawy; a on między niemi rej bywało wodzi, a nawet i
starszymi komenderuje. Ono

to i zimą nieraz wieczorami przybiegały chłopięta do mojej chaty boraszkować da skazki prawić; ale nie na długo. A jak bywało rozejdą się po domach, a on zostanie sam jeden, to mnie aż serce krwią się oblewa, jak na nieboraka spójrzę! Zacznę mu prawić to, sio, to stare sprawy, to skazki, to zagadki; ale nie potrafię nigdy tak go rozśmieszyć, ucieszyć, jak to rówieśniki jego. I mimowoli znów mi przyjdą na myśl niebożątka moje z mogiły, i gorzka łza kanie."

"Ej! myślałem sobie — żeby mi Ojciec Niebieski choć sierotkę jaką darował, tak jak Artemowi staremu!"

"Artem, panocze, był to sobie poczciwy dziadyga sześćdziesięcioletni. Pańszczyzny już nie robił, a siedział u syna, co już i sam miał dwóch tęgich chłopaków i dwie córki zameżne. Dobrze im się działo, było i szczęście, były i do-

statki, ale jak przyszła zaraza, tak jednej nocy z całej siemienistej chaty, sam tylko Artem pozostał, a dzieci i wnuki straszna śmierć zagarnęła od razu! Tylko co nie umarł z żalu starowina!.. Chciał potem pójść z lirą po żebranie; ale mu nasz Dobrodziej jakoś wytłómaczył, że się nie godzi po jałmużnę zdrowe ręce

wyciągać, tem bardziej, że miał i zapas grosiwa niezgorszy i
chudobę piękną, i
sterty na toku: radził, by się postarał najmitów i gospodarował
szczęśliwie. Ale
dziad uparł się przy swoim: ot nie, i nie! gospodarować nie
chciał, pieniądze i
chudobę oddał na chwałę Bożą, sterty podarował biednym, a
sam się zrobił
pastuchem."

"Trzeciej już może niedzieli po zarazie, wieczorem siedziałem
sobie na przyzbie
pod chatą, huśtając swojego Janka na kolanach, a właśnie w tę
porę szła trzoda z
paszy. Nadbiegła i moja chudobka; Janko, choć miał dopiero
trzy latka, skoczył
otworzyć wrota, przynajmniej jemu się zdawało, że otworzy, i
zając do obory
krówki i owieczki; a tymczasem przywlekl się i stary Artem,
niosąc coś na rękę.

Myślałem, że jakie jagnię zacherlało, i powiedziałem w
duchu: ot pocziwy stary!
nosi się jak z dzieckiem! Ale kiedy spojrzę, aż no on
doprawdy dziecinę niesie w
pieluszkach jeszcze, i lula i przyśpiewuje, jakby niańka jaka."

— "Dobry wieczór! rzekłem, kumie Artemie. A co to
niesiecie?"

— "Podarunek Boży! Artem odpowiada. Żal Bogu siało
starego sieroty, to i zesłał
pociechę."

— "Zkądże ta dziecina?"

"Artem siadł ze mną na przyzbie, i tuląc kwilące niebożatko,
całe przydarzenie
opowiedział, a tak to było:"

"Przechodząc z trzódką pod brzożą koło figury, co to ją ludzie od cholery postawili, patrzy, aż no leży jakaś ko-

biedna, ubrana coś jakby z szlachecka, a na jej łonie dzieciątko w pieluszkach.

Biedaczka Bogu już ducha oddała, zsiniała i poczerniała jak ziemia; a jeszcze do serca dziecinę tuliła skostniałymi rękami, a niebożątko wpiło się usteczkami w jej zimne piersi, i biedne nie czuło śmierci! i, miły mój panie, z trupa nie wyszło śmierci!.. Co to jak Bóg Wszechmocny zechce poratować kogo!..."

"Tymczasem kiedy mi Artem tak prawi, zeszli się sąsiedzi i sąsiadki, zaczęli się dopytywać i dziwić, zaczęli się naradzać co z dzieciątkiem zrobić? I uradziliśmy wszyscy pójść do Dobrodzieja, prosić by nieboszczkę po chrześcijańsku pochował, dziecinę na wszelki przypadek ochrzcił, i, co z nią zrobić, poradził. A nasz Artemisko jak się rozplacze, jak zacznie wyrzekać, jak zacznie nas prosić, byśmy mu nie odbierali jego Znachodki, którą mu wyraźnie Pan Bóg podarował, byśmy uprosili Dobrodzieja, aby ją jemu przysądził, tak aż nam wszystkim łzy w oczach stanęły! Ja nawet, cobym połowę całego bogactwa rad oddał za tę dziecinę,

westchnąłem tylko i pocieszyłem dobrą nadzieją starego Artema."

"Ochrzciliśmy dziewczynkę i daliśmy jej imię Zonia; a nieboszczkę jej matkę pogrzebliśmy po chrześcijańsku na swoim cmentarzu, tuż przy mogile mojej żony i dzieci. Zonia dostała się Artemowi, co ją taki i do chrztu trzymał. Dobrodziej nasz chciał także wziąć ją do siebie, ale jak zaczął Artem całować go po nogach, jak zaczął płakać, jakżeśmy wszyscy zaczęli prosić, by ją staremu zostawił, tak się i zgodził, i jeszcze coś niby na mamkę podarował."

"Już to taki cała gromada chciała coś zrzucić się Artemowi na sierotkę; ale on nic nie przyjął. Uparł się koniecznie sam z siebie ją wychodować, nawet mamki nie

chciał: ale za popowskie pieniądze kupił sobie krówkę, zrobił sysełkę, i parzonem mlekiem sam karmił dziecinę. Stary Artemisko po prostu oszalał z radości! Bywało to i śmiech, i sercu lubo patrzeć na niego! Nie wiem z kąd się u niego brały i siły, i czas, i rozum do tego! Bo to i z trzodą chodzi, i pieluszki wypierze, i dziecinę wykąpie, spowije, nakarmi; a wszystko tak mu gładko idzie, jakby cały swój wiek był

mamka! A rusza za trzodą, to kołyskę zarzuci na plecy i
przyśpiewuje; a nie wiem
już z kąd się u niego brały te piosneczki dziwne, niesłychane, a
takie pocieszne,
że aż się za boki weźmiesz, posłyszawszy! A wprowadzi
trzódke na paszę, to
kołyskę przyczepi do drzewa, siądzie na pieńku, kapelusz
plecie, Zonię kołysze i
piosnkę śpiewa. A miał cztery tęgie kundysy, z których każdy
wilka by podążał;
to te mu jak chłopcy trzody pilnowały, a on sobie ba-j duże!
"Tak zesła wiosna i lalo, i aż do późnej jesieni. Zonia już
wyszła z pieluszek,
wyładniała jak aniołek Boży, zaczęła i nóżki stawiać i słówka
składać. Oj! co to
za radość była Artemowi, jak ją raz pierwszy posłyszał
mówiącą: dziaduniu! jak
ją na nóżkach obaczyli Wróciwszy z trzodą, żadnej chaty nie
miał, do każdego
gospodarza zajść musiał, by mu się swoją radością pochwalić.
Przyszedł i do
mnie, namówił Janka do zabawy z Zonią, stał, oparł się o
ścianę, a patrząc jak
jego pociecha wstawiała na nóżki, złożył ręce na piersiach jak
do pacierza, i
patrząc w nią jak w tęczę, i chwiejąc posiwiałą głową, śmiał
się radośnie, a łzy
mu, jak groch, sypały się z oczu. A mnie coś tak tęskno się
zrobiło i chłód
ścisnął serce, — od zimnej mogiły powiało na nie!...
Pozazdrościłem biednemu
Artemowi Zoni jego drogiej!. A jak ją wziął na ręce i wyszedł
z chaty, a Janko

mój, wyciągając za nią rączynki, zaczął

rzewnie płakać, to i mnie z żalu serce zabolalo! Pobieglem za Artemem, zacząłem go prosić i namawiać, by do mojej chaty przeniósł się na zimę, ale się nie dał uprosić! Nie nacieszył się jeszcze Znachodką swoją i ludziom jej zazdrościł!"

"Dopiero aż czwartej zimy nakłonił się na moją prośbę, i przyjął u mnie gościnę.. I nie żałował tego, bo i sam miał z kim pobaraszkować, i Zonia miała z kim poigrać. Bywało obadwa aż do łez się śmiejemy, patrząc jak dziatwa się bawi!

Janko już wtedy miał siódmy roczek, i zwawy był chłopiec; to Zoni różne wymyślał zabawki, i karmił ją, i stroił, i pacierz z nią mówił, i na rękę nosił, i lubiły się dziatki, jak dwie turkaweczki."

"Za to, jak przyszła wiosna, jak pierwszy raz trzódka ruszyła w pole, a za nią

Artem i Zonia, mój biedny Janko zachodził się od płaczu, prosząc mnie

koniecznie, bym ja i jemu pójść z niemi pozwolił. I pozwoliłem; bo i ja stary,

gotówbym pobiedz za Zonią. — taka to była serdeczna dziecina! Pozwoliłem i

drugi, i trzeci raz, i dziesiąty; lecz potem strach mi się zrobiło, by z Jankiem

bezemnie co złego się nie siało, i, choć przeciw sercu, coraz rzadziej i

rzadziej dawałem mu wolę. Z razu trapiło się niebożę i
popłakiwało; ale jak mu
rzekłem, że mnie staremu tęskno bez niego, tak już ani
wspomniął o trzodzie. Ej!
bo to było serduszko miękkie i słodkie jak świeży plastr
miodu lipowego!.. To
tylko wieczorem, jak trzódka powraca, wybieży bywało aż
pod trzecią chatę,
nabrawszy pełną pazuchę gruszek, a jabłuszek, a śliwek, a
różnych zabawek; a
spotkawszy Zonię, zamani do naszej chaty, i już aż do późnej
nocy igrają; a
stary Artem bandurzy ze mną na przyzbie jak mnie roboty nie
ma; a nie, to sobie
siadłszy, niby to kapelusz, albo koszyk plecie, a na prawdę
bawi się z dziećmi
stary dzieciuch."

"Na zimę znowu osiadł w mojej chacie. Tak przez cztery roki.
A Zonia rosła i w
lata i w rozum, i w krasę; rosła jak jabłonka dzika, którą Bóg
hoduje, słońkiem
ogrzewa, rosą polewa, i mchem mięciutkim z północy
odziewa, deszczem obmywa, a
wiatrem bujne kosy rozczesuje. Bywało jak wraca z trzodą,
ubrawszy się w
kwieciste wianeczki, albo pod jesień w żółte, kraśne i sine
liście brzozowe a
osinowe, i w sznury koralu z szypszyny, a biegnąc z zieloną
rószczką za owcami,

przyśpiewuje sobie, jak ptaszatko jakie; to nie było człeka, co
by nie stanął i
nie podziwił się na nią i dobrego słówka nie powiedział! Miała
już lat ośm, i
prawą ręką Artemowi była, gdzie tam prawą ręką! Dziad już
się dobrze posunął,
już i nie zdłużał, już i nie dowidział i nie dosłyszał; to ona za
niego miała i
uszy i oczy, i nogi, i ręce, była jemu wszystkim, była jemu
siłą i zdrowiem, i
życiem! Mnie Janko toż samo, choć sam byłem krzepki. Miał
już jedenaste lato, a
i z pługiem chodził, i do sierpa stawał, i w kosę dzwonił, i
cepem dzielnie
wywijał."

"A tego roku jakoś słońeczko wcześniej przygrzało, ciepły
wietrzyk dmuchnął, i
zima czmychnęła, aniśmy się spostrzegli. Na trzy niedzieli
przed Wielkanocą już
tylko gdzieniegdzie po głębokich jarach szmateczki śniega
świeciły, jakby
wielkie pióra ze skrzydeł zimy, pogubione w pośpiesznym
locie; a nasze wzgórza,
skapawszy się w ciepluchnym deszczu, wygrzawszy boki na
ciepluchnem słońku,
odżyły, zazieleniały, zakwitły! Zaklekotały bociany, i klucz za
kluczem, z
radosnym krzykiem, pociągnęły gęsie i żórawie, a w lesie aż
drzewa się trzęsły
od wesołej wrzawy rozlicznego ptastwa, co z piosnką do miłej
pracy się brało.
Mój bocian także przyleciał; zaciągnąłem koło na obórkę, i
drugi gnieździć się

zaczął. Ono to prawda, że i radość i smu-

lek od Boga; ale jakoś mi serce raźniej zaigrało w piersiach;
bo ludzie mówią,
że gdzie się bocian gniezdzi, tam się szczęście gniezdzi...
Szczęście od Boga;
ależ bo i bocian Pana Boga słucha.... to i dziękowałem Bogu
za bociana."

"Artem zwykle na wiosnę zdawało się że młodniał, że zrzucił
z plec z dziesiątek
latek; dumki a szumki sypały się z głowy, jak pszczoły z ula.
A teraz, chocia
zdrów jak rybka, coś tak posmutniał, tak głowę spuścił, że aż
żał było patrzeć
na niego! Ej! powtarzał ciągle, nie długo mnie już gościć na
świecie! Czuję, że
nawet jajka święconego z wami jeść nie będę!.. już nawet i
ciało moje syra
ziemią trąci. Ja go pocieszałem, ja mu prawilem co mogłem,
by te gorzkie myśli
wybić z starej głowy; on słuchał, słuchał potrząsając czołem, a
łzy po
zmarszczonej płynęły twarzy. Ej! mówił — nie myślcie bo
kumie, że mi tak ciężko
umierać, że mi tak żal za światem! Co w nim? nahorował się
da nabidkał się człek
nie mało, nieraz się krwawemi łzami oblał; to czegoż
żałować? A tam już cała
siemja wygląda starego zdawna, to i grzech nawet tak długo
marudzić. Ale mi

serce się kraje ot za tą sierotką, za mą złotą Zonią! Boję się, by tu jej
bezemnie ludzie nie krzywdzili! Nie bójcie się kumie,
mówiłem, ja ją zasłonię od
niedobrych ludzi! nie bójcie się kumie! ja ją w serce wezmę!
A on dziękował i
jakoś weselał trochę."
Nadszedł Wielki Tydzień. We środę raniutko Artem się
wyspowiadał nabożnie,
oczyścił duszę, przyjął "Pana Boga; a idąc za trzodą zaszedł
do mojej chaty,
rzucił się do mnie na szyję, całując i obejmując i głośno
płacząc, i prosząc,
abym pamiętał o tem com powiedział, abym jego Zoni nie dał
złym ludziom
krzywdzić. Cós i mnie smutno się zrobiło, serce się ścisnęło,
łzy stanęły w
oczach.... Poszedł on z Zonią za trzodą, ja miałem iść z
pługiem na

swoję niwę, ale mi smutek i siły i ochotę odjął, i ręce opadły.
Parobka tylko
posłałem, a sam poszedłem przątać koło chaty na święta;
Janko mi pomagał, ale
cós obu nam nie szło. Niespokojność dziwna wpiła się w serce
jak zła gadzina i
niczem wyrwać jej nie można było! I praca nie szła, i
połuderek smaczny nie
smakował; i z utęsknieniem zachodu słońca czekałem, żeby
czem prędzej Artema i
Zonię z trzodą obaczyć, i coraz to wyglądałem na ulicę."

"Kiedy raz spojrzę, aż no bieży Zonia co jest siły, z roztrzepaną kosą, z pokrwawionymi nóżkami, krzycząc i zalewając się łzami, i rączki łamiąc. Oj! woła, biegnijcie, biegnijcie czem prędzej!.. coś się Artemowi stało! położył się, zadrzemał i wstawać już nie chce, i zbudzić go nie można!"

"Uderzyłem w dłonie z przestraczem, i serce obumarło we mnie, i tak jak stałem puściłem się w pole do Artema, nie widząc nawet, że za mną w ślad skoczyli Zonia i Janko. Nie wiem już, jak ja trafiłem, ale jak raz stanąłem na tem samym miejscu, gdzie pod figurą u zielonej brzozy, oparłszy głowę na zwiniętej świcie, leżał stary Artem twarzą ku niebiosom, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Zdawało się, że drzemie, i że jakiś miły sen jemu śni się; bo twarz była taka spokojna, taka wesoła jakaś!.. Przy nogach leżał stary jego kundys, i coraz to łapą go drapiąc, wietrzył i zawywał smutnie; a trzoda, nie pasąc się, lecz stojąc w miejscu, rwała racicami ziemię i głucho rykała... A było to jak raz pod tą samą brzozą, gdzie, ośm lat temu, matka naszej Zoni skonała! Oj! pomyślałem sobie — biedna sierotko dwa razy! będę ja ciebie miłować a pielęgnować więcej niż rodzoną swoją! I, dziwna rzecz — zdało mi się, serdeczny panie, że stary

Artem niby się uśmiechnął, i niby coś szepnął, jakby Bóg zapłać!...

"Pomodliłem się za jego duszę, posłałem Janka po wóz i woły; a wzięwszy Zonię na ręce, zacząłem ją pieścić i utulać w płaczu, mówiąc, że się dziadunio obudzi, że to tak z postu sen go zmorzył. A ona biedaczka zaczęła mi rozpowiadać, jak go budziła naprzód wołając, a widząc że nie wstaje, podkradła się i pocałowała; a jak to go nie obudziło, to pomyślała że sobie żartuje, i wzięwszy słomkę zaczęła go łaskotać po brodzie i wąsach.... a potem straszno jej się zrobiło, zaczęła płakać i krzyczeć i szarpać za odzież, a nie obudziwszy, pobiegła już po mnie nieboga, żebym ja go budził. Oj! sierotko biedna! już jak on do ciebie nie wstał, to go sam Pan Bóg chyba na straszny sąd obudzi!"

"Przyjechał Janko z parobkiem; położyliśmy Artema na wozie, parobek został przy trzodzie, a ja z Zonią i z Jankiem poszedłem za nieboszczykiem."

"Wieczorem, jak Zonia spać poszła, skoczyłem do Dobrodzieja, i zaprowadziliśmy starego Artema na cmentarz, a pochowaliśmy taki rzędem z matką Zoniną. Poczciwa

to była dusza! mało już dziś takich na świecie: wierny panu,
szczerzy w pracy, a
miłosierny a bogobożny!..."
"Zonia, jak się tylko zbudziła, tak zaraz spytała: gdzie Artem?
Co tu jej było
powiedzieć? Powiedziałem, że raniuteńko poszedł na odpust,
że wróci aż za
tydzień. Zonia popłakała trochę że jej nie wziął z sobą, i już
się uspokoiła. A
jak minął tydzień, znowu się dopytywać zaczęła o Artema; ja
jej powiedziałem,
jakoby ludzie mówili, że z tamtąd się ofiarował do drugiego
świętego miejsca. I
tak od niedzieli do niedzieli odkładając, a pieszcząc, a miłując,
pomąlu ją i
odzwyczailem od Artema; już to nie tak ja, jak Janko, co jej
coraz nowe wymyślał
zabawki. Czekala wprawdzie na Artema, ale nie plakała. A jak
po Świętej Trójcy
powiedziałem wreszcie, że już nie powróci, że go Bóg wziął"

do siebie, że już ja dla niej będę Artemem; to poprosiła tylko,
żeby ją
zaprowadzić na jego mogiłę, pomodliła się, nasadziła
kwiatków, z tydzień się
posmuciła, a potem już taki zupełnie do ranie przywykła.
Wtedyż pokazałem jej i
mogiłę jej matki; to i tę zasadziła kwiatkami, i pielęgnowała
je, i często na
cmentarz modlić się chodziła."

"Odtąd już słońko nie schodziło z podwórka mojego: zdawało się, że szczęście, płochliwe ptaszę, już się oswoiło ze mną. Do chatki wróciła radość, serce przeboleło za straconemi, przylgnęło do Janka i Zoni i do poczciwej czeladzi. Bóg błogosławił i w polu, i w domu; i chleba, i grosza było podostatkiem. A tu jeszcze, jak już wam panie mówiłem, baćko nasz postawił mię nad całą naszą gromadą, a jak zobaczył, że mu służę wiernie, że ludzi nie krzywdzę, to i miłował, i łaską hojnie obdarzał. A i gromada, poczciwa gromada nasza! nie wiem już za co tak mnie polubiła, że nic bez mojej rady nie poczynała. Czy sprzedać, czy kupić, czy nająć się pod transport, czy działki poswatać, to każdy szedł do mnie, jakby do znachora. Radziłem, jak mnie mój prosty chłopski rozum radził, a szczerze serce kazało, i jakoś nikt źle nie wyszedł na mojej radzie."

"Już to ja sam z siebie możebym i niewiele poradził w prostocie swojej, ale mi wiele przybyło i z mądrych słów dobrego pana, i z mądrych słów Dobrodzieja naszego. Z panem się gawędziło nieraz z powinności, Dobrodziej nieraz do mojej chaty zachodził, i nibyto działwę chwalić Pana Boga ucząc, nieraz i mnie staremu świętą dał naukę. Nauczyli mnie oni, że nie ten szczęśliwy, kto więcej grosza

uzbiera, bo go na tamten świat z sobą nie weźmie; ale ten
szczęśliwy, kto więcej
dobra swoim bliźnim zrobi, bo to przed nim pójdzie i drogę
mu do Nieba uścieli.
To też nie zamykałem ani drzwi swojej chałupy, ani swojego
serca, ani

swojej skrzyni przed nikim w świecie. Spichlerz mój był
zapaśnym magazynem dla
gromady, skrzynia zapaśną skarboną; kto tylko zapotrzebował,
pewno nie odszedł z
próżnemi rękami. A miał, to oddał, a nie miał, to się obeszło; a
znaku nie było,
że się braciom dało. Za to też miłowała mię cała gromada tak,
że i w ogień i w
wodę za mną by poszła!..."
"I nie było włości na całym Podolu drugiej tak jak nasza! U
nas bywało
najwcześniej zasiano, najwcześniej podatki złożone i rekrut
oddany. Bo jakoś Bóg
mi dopomógł nauczyć gromadę, że rekrut to powinność
święta, że każdy z ochotą ma
iść na obronę swojej Świętej Wiary, swojej drogiej ziemi,
swojej drogiej chaty,
i ojców, i braci; to i urządziliśmy kolejkę, i jak przyjdzie pora
komu należy,
sam bywało stanie, bez płaczu i bez lamentu, bez rozboju i bez
kajdanków. A
uprzątawszy było z pola i z toku co potrzeba, dwa razy z
transportem do Odessy

pójdziemy, i pańską i swoją pszeniczkę sprzedamy, i za
podwoły piękny grosz
weźmiemy. A kupcy bywało jeden przed drugim dobijali się o
nas; bo nigdy nie
pokazało się po nas ani niedbalstwa, ani tem bardziej
kradzieży."

"A okoliczni panowie dziwili się mocno i na rozum brali,
jakim to sposobem nasz
bat'ko tak dobrze poddanymi rządzi, że i najśliczniejszy grosz
zbiera, i włość w
dobrym bycie, i nie buntuje się, i nie narzeka jak u nich. Ej!
serdeczni
panowie! łatwy to sekret ta mądrość naszego bat'ka w
rządzeniu: ojcowskie serce,
a sprawiedliwość, ot i cała sztuka."

"Tak w szczęściu i w radości szły lata niepostrzeżenie, i z
Zoni się stała
dorodna dziewczka krasawica, a z Janka parobek hoży. Oboje
pierwsi z urody,
pierwsi w zabawie i w pracy; a mili sobie nawzajem, jak
słonko światu, jak

deszczyk wiosenny niwom. Jankowi było dziewiętnaście a
Zoni szesnaście latek; to
i pomyśliłem sobie: niechaj się pobiorą! Ja stary, już i nie
zdużam; oddam im
chatę i gospodarstwo, niech sobie sami dla siebie pracują
Bogu na chwałę, a mnie
na pociechę. Skoczyłem do pana, skoczyłem do popa; a po
Wielkanocy i

pobłogosławiłem moim drogim dziatkom, a nie było parobka,
coby Jankowi nie
pozazdrościł, nie było dziewczki, coby nie pozazdrościła Zoni."
"Dobry nasz pan szanował ten zwyczaj, że każde wesele
hulało na dworze, a nie
żałował ni miodu, ni piwa, tak samo jak kiedy częstował
gromadę z wiankiem. A
jeszcze bywało, bat'ko nasz kochany to sam rozpoczynał
taniec z panną młodą, a
pani kochana z panem młodym!... A panicz bywało to stanie
na ganku z jakimś tam
niemcem, da śmieje się tylko da po zamorsku szwargoce, że
nic nie zrozumiesz,
tylko kanalję i diabła.... Ot, niekoniecznie to prawda, co ludzie
mówią, że
jabłko niedaleko od jabłoni pada; przynajmniej z naszym
paniczem inaczej było!..
Może z natury to i niedaleko się odtoczył; ale go źwierz
brzydki swym ryjem
odrzucił i zapługawił! On nie przyjmował gromady ni z
wiankiem, ni z kołaczem,
sromał się z panną młodą pójść w taniec, za to na jarmarku w
Bałcie a w
Jarmolińcach, to grzech i powiedzieć z kim on w tany
chodził!"
"Jakoś to niedługo po weselu Zoni, nasz bat'ko kochany Bogu
ducha oddał; a dobra
pani, to taki cós na drugi dzień z serdecznego żalu w ślad za
nim poszła. Ze
wszystkich stron zbiegli się wielcy panowie na pogrzeb,
zjechała się księży moc
wielka, i w bogatych aksamitnych trumnach, złotemi
nabijanych ćwiekami, z

żałobną muzyką i z pochodniami wśród ciemnej nocy, zawieźli do grobu nasze dobre państwo. Było tam żalu i łez niemało; lecz nikt podobno, nawet syn rodzony, tak nie żałował, tak nie opłakiwał, jak

gromada nasza! Cała wieś z płaczem i jękiem powlekła się na cmentarz, cała wieś gotowa była zagrzebać się w grobie z ukochanym państwem!.. Lepiejby jej tam było, niż na Małym świecie, pod rządem panicza!" "Póki żył nasz bałko, to go trzymał w ryzie; a jednak już przebąkiwali ludzie, że to wielkie ladaco, że i rodziców nie szanuje, i z ludźmi jak z psami się obchodzi. To też zaraz po pogrzebie zagrał po swojemu!.. Mój miły Boże! jeszcze wiatr nie wywiął z pokojów ostatniego tchnienia nieboszczyków, a on już się puścił na wszelkie swawole! Zdawało się, że jak kruk na śmierć ojcowską czyhał, że z upragnieniem tej pory wyglądał, w której się na wieki zamkną drogie rodzicielskie oczy, przed których jasnością, jak sowa przed słońcem, ukrywać się musiał z brzydką duszą swoją! Doczekał się wreszcie! I tejże niedzieli zciągnęła się czereda jarmarkowych przyjaciół i przyjaciółek, i jeszcze nie porosła trawą rodzicielska mogiła, a on już przehulał większą połowę gotówki!"

"Żebyż tylko hulał!., ale on niedobry, zapomniał i o duszy rodziców swoich, i nie poszanował w niczem ich pamięci świętej! Żaden stary sługa, miły niegdyś państwu, nie został na miejscu, każdy z krzywdą i łzami wymandrował ze dworu, złorzecząc paniczowi; żaden stary zwyczaj nie wiódł się już dłużej! I w dworze i w włości wszystko do góry nogami przewrócił!"
"I mnie z ekonomstwa zrzucił. Nie zrobił mi tem krzywdy, ale mi żal było pocziwej gromady, bo nad nią jakiegoś Niemca postanowił, co nie znał ni mowy, ni głowy, ni zwyczaju, ni obyczaju naszej włości; żal było i dziecka pańskiego, bom wiedział, że źle sobie poczyną, i serce poddanych dobrowolnie traci."
"Chodziła gromada prosić, by po dawnemu mnie ekono-

mem zrobił, a on nie posłuchał i batogami jeszcze pogroził. Wróciła z żalem i gniewem w duszy, i do późnej nocy pod moją chatą gwarzyła, radząc się co począć?
A młodszy i gwałtowniejszy to i pomrukiwali złowrogo, i odgrażali się na złego panicza."
"Ja ich uciszałem jak mogłem, radząc by szli sobie po dawnemu, i wspominałem im starego pana i jego pocziwe serce, i mówiłem im, że on nie będzie miał pokoju w

grobie, jak my buntować się będziemy. Gromada zrazu krzyczała: to syn jemu pokoju w grobie nie daje! lecz w końcu jakoś ucichła i po chatach się rozeszła."

"Ale jak nowy ekonom zaczął po swojemu przewodzić, a wydziwiał, a zdzierać, a głumić się z ludzi; jak panicz zaczął rządzić nowomodnie, tak już ja swoją radą nic nie poradziłem, i ledwie Janka powściągnąć mogłem. Nie było dnia bez jakiejś sprawy; batogi furami do dworu wożono, lud uciekał ze wsi, a panicz pędził w rekruty, w aresztanckie rotty, w katarznuju, albo na posilenje. I jeszcze złorzeczył pamięci dobrego ojca, mówiąc, że nas porozpuszczał, i okoliczni panowie w ślad za nim krzyknęli: nieboszczyk porozpuszczał chłopów!"

"Słyszeliśmy to, słyszeli! i serce u nas z żalu się krajało, i żeby pokazać, że on duszą krzywi bezbożnik, golowi byliśmy cierpieć i znosić wszystko ciszej, niż wół w pługu, niż owca pod nożem; ale, miły panie, nie można było, nie można! jak Bóg żywy w niebie!... Bo jużciż my dobrze wiedzieli, że nic nie pomożemy sobie ni hardem słowem, ni hardym uporem, ni szamotaniem się szalonem; ale, klnę się Bogiem, nie można było wytrzymać!... Możebyśmy wkońcu i przywykli; wszak mówią panowie, że chłop się na to już rodzi! I nie żałowalibyśmy ni naszych dostatków, ni naszego potu, ni krwi nawet naszej!... płynęłaby

ona spokojnie, żeby chociaż cześć nam zostawił; ale na cześć się targnął, i krew zakipiała!... Bezwstydnik! jak mu nie stało grosza na wybredniejszą rozpustę, zaczął psuć i krzywdzić żony i córki nasze!..."

"Dobrodziej nasz, co z nieboszczykiem panem i radził i sądził o nas, i nad poczciwością naszą pracował, którego bał'ko nasz miły szanował i za stan święty i za święte życie, widząc to, nie zważał na jego butę, nie zważał na pogardliwe przyjęcie; ale raz poraz chodził do niego, i prosił i groził, aby rozpusty zaprzestał, aby nie rozkrzewiał kąkolu na pięknej niwie, złotem zasianej ziarnem przez nieboszczyka ojca. A jak mu drzwi przed nosem zamknięto, to listy posyłał."

"Nie upamiętał się panicz, i rozzłoszczony podał do rządu skargę na Dobrodzieja naszego, że niby to on źle się prowadzi, parafjan zdziera, krzywdzi i nie pilnuje. A nim komissja zjechała, on wezwał przedniejszych gospodarzy, a i mnie z niemi, nauczył jak mamy świadczyć przeciw Dobrodziejowi naszemu, i obiecał z nas pozdejmować skóry, jeśli pod przysięgą tego nie powiemy. Wysłuchaliśmy w milczeniu i rozkazu jego i obietnicy, i z pokłonem odeszli."

"Zjechała komissja, wzięli z nas przysięgę i badać zaczęli. A
myśmy jednym
zawołali głosem, rzuciwszy się do nóg jaśnie wielmożnym
sędziom: ojciec to nasz
najlepszy! — I caluteńka wieś zbiegła się przed okna, wołając:
nie krzywdźcie
Dobrodzieja naszego!"
"Nie wiem już, jakby lam było z paniczem, żeby nasz
Dobrodziej sam się nie
wstąpił za nim; ale źle było z nami. Jak tylko wyskrobał się z
tej sprawy, lak
zaraz tych co przysięgali, starców sędziwych kazał
przyprować do siebie, i
prawda, dotrzymał słowa: pozdejmował z nas skóry. Mnie się
najwięcej dostało, bo
wiedział, że mnie gromada

jeszcze może więcej niż Dobrodzieja i miłowała i słuchała. to
też dwie niedzieli
przeleżałem. Żeby tylko zechciał, oj! popamiętałby on
Koźmę; ale mu
przebaczyłem swą krzywdę, dla świętej pamięci nieboszczyka
ojca. A on i ukarał i
nie przebaczył. Dał pokój mojemu ciału, a serce zaczął
katować, zaczął Janka
krzywdzić. Ach! co on biedny wycierpiał, co ja wycierpiałem
za nim, co
wycierpiała Zonia! Bogu to tylko wiadomo."
"I nie tu koniec. Czy mu jeszcze dotąd Zonia nie wpadła w
oko, czy duch

nieboszczyka Artema nad nią niewidomie czuwał, dosyć że jej nie zaczepiał. Ale jednego razu Janka wzięli do dworu bić, już nie wiem za co; Zonia pobiegła za nim i paniczowi zaczęła pełzać po nogach, by mu przebaczył. Przebaczył... ale wolałby Janko, by go zbił do śmierci, a jej nie napadał." "Odtąd złagodniał panicz i dla mnie i dla Janka; zaczął jak i nieboszczyk ojciec do chaty mojej zaglądać, i niby to radzić się ze mną. Ja w prostocie serca pomyślałem sobie, że się mu ojciec przyśnił, a napomniał, to ot się poprawi; i radziłem szczerze, i tylko co nie rozplakałem się z radości. Janko się tylko krzywił i z podełba patrzył na odwiedziny panicza, i Zonię wysyłał z chaty, jak go tylko zajrzał jadącego. Ja go napominałem łagodnie, że się nie godzi tak długo złe ludziom pamiętać, że, jakby nie było, to taki to pan nasz i dziecko rodzone naszego baćka. On nic nie odpowiadał, a tylko wzdychał i brwi namarszczał. Ej! pokazało się wkrótce, że dobrze serce mu szeptało." "Nasz panicz zrazu tak przyjeżdżał, żeby mnie zasiać w domu i pogadać, a potem zaczął wypatrywać porę, kiedy ani mnie, ani Janka w domu nie było. Zajedzie, wywoła parobka z chaty żeby mu konia potrzywał, dziewczynę po-

szle na wieś wymyśliwszy jakąś potrzebę, i sam zostanie się z Zonią."

"Patrzę ja, czego to moja droga Zonia tak posmutniała?

Bywało rzeźwa jak

ptaszek, a taka wesoła, że i mnie staremu w smutku smutek nie przychodził na

myśl, a teraz to czy zaśpiewa, to tak żałośnie, jakby po nieboszczyku płakała;

czy się zaśmieje, to jakby z bólu się śmiała. I ot kto wie czego; bywało, jak

siedzę sobie wieczorkiem na progu chaty, to przyjdzie, usiądzie na ziemi przy

moich nogach, oprze drogą główkę u mnie na kolanach, i jak zacznie płakać

nieboga cichemi łzami, a ręce moje całować, to tak mnie rozżali, że i ja stary,

jak dziecko z płaczu się zajdę. A tulę ją, a dopytuję się przyczyny smutku, a

może to, a może owo? — To tak ja sobie płaczę — odpowiada bywało — nie trapcie

się ojczu! Trudno mi było uwierzyć; jużciż człek tak sobie nie płacze, a od łez

radosnych nie zapuchną oczy, jak u mojej Zoni. To i nie dawałem pokoju, a

dopytywałem się ciągle. I raz biedaczka do nóg mi się rzuciwszy i zachodząc się

od płaczu, zaczęła prosić, bym ją od panicza obronił, który jej pokoju nie daje

z miłością swoją szkaradną."

"Krew zakipiała we mnie. Pobiegłem zaraz do dworu, sam nie wiedząc czego;

szalone myśli kręciły się w głowie, jak złe duchy w
piekielnym kotle. Ale nim
dobięciem, wieczorny wietrzyk ostudził krew rozigraną w
starych moich piersiach,
i nie do dworu, ale na cmentarz poszedłem. Tam upadłszy na
mogile Artema,
zaczęłem go prosić ze łzami, by sam już bronił naszej drogiej
Zoni, bo już ja
nieszczęsny rady nie widzę, a człowiek zły z serca mi ją
wydziera."
"A tuż przy cmentarzu naszym, nieboszczyk nasz bat'ko
zaczął był stawiać kaplicę
dla siebie na mogiłę; bo mówił: długi wiek przy moich
kochanych dzieciach
przeżyłem, to

niech i po śmierci przy nich spoczywam. I pochowali ich na
tem miejscu oboje,
ale tylko fundamenta kaplicy stały wzniesione przez
nieboszczyka, da cegły i
kamienie leżały, co on nazwozić kazał. Bo syn, nie tylko że
kaplicy nie
skończył, ale nawet krzyża na rodzicielskim grobie nie
postawił. To nasza
gromada, za wspólną radą, wykuła wielki krzyż z kamienia, i
mimo wiedzy panicza,
cichaczem go postawiła na drogich swych panów mogile, i
ogrodziła ją wysokim
płotem, żeby zwierz dziki jej nie znieważał. To i tam
poszedłem, i modliłem się

z płaczem do świętych duszeczek pana i pani, by się pokazali
choć we śnie
synowi, i Bożym pogrozili mu gniewem. I wypłakawszy się i
wynurzywszy swój żal
mogliom, ze złejszem sercem wróciłem do chaty."
"Ale łzy moje nie przebiły grobów, modlitwa moja nie
przebiła niebios, i panicz
Zoni pokoju nie dawał."
"Ot jednego razu, po długich a gorzkich dumach, odurzały z
żalu, poszedłem z
głupią myślą do panicza. Miłościwy panie! powiedziałem —
nie pożałujcie fatygi,
a pójdźcie no ze mną; ja wam skarb pokażę taki rodziców
waszych, weźcie go do
siebie, a obróćcie na dobre."
"Uradował się panicz bez miary i w skok pobiegł za mną. A
było to już dobrze
nocą, a noc była ciemna, choć oko wykol. Czarne chmurzyska
zaciągnęły niebo,
parno było, a cicho, a głucho, jak w grobie; jak gdyby świat
cały wybiła zaraza.
Czasami tylko grom padał w oddali, i całą ziemią i niebiosy
wstrząsał. Szliśmy w
milczeniu, i zaprowadziłem panicza na rodzicielską mogiłę. I
kląłem... błysnęło
i cały świat ogniem oblało, i krzyż na grobie ogniem
paniczowi błysnął. — Co to
jest?! krzyknął.... Zagrzmiało aż dzwony jęły w cmentarnej
cerkwi, i z długim
echem grom się przewalał z chmury na chmurę... ucichło. —
Kłę-

knijcie paniczu — rzekłem, a pomodlcie się Bogu; to grób
rodziców waszych, Panie
świeć ich duszy! — Głupiś! krzyknął panicz, gdzie skarb
zakopany?! — Ja ciągle
klęcząc, mówiłem ze łzami: tu panie, tu panie skarb ten
zakopany, skarb
najdroższy w świecie, droższy nad skrzynie złota i skrzynie
klejnotów — serca to
rodziców waszych, a w nich cnota święta. Weźcie ją
miłosiwy panie do siebie, a
obaczycie, że prawdę wam mówię, a obaczycie, że szczęście
wam złotą rzeką się
poleje. Znajdziecie skarb wielki, miłość u ludzi i miłość u
Boga; weźcie tylko
skarby serc rodzicielskich."
— "Ach ty łajdaku! zakrzyczał panicz — ach ty buntowniku!
ty będziesz mi nauki
prawił! — I miły panie, kijem co miał w ręku, nie patrząc ni
oka ni boka, zbił
mię aż do krwi, i obumarłego porzucił na grobie."
"Nie wiem, jak długo leżałem; wtem błyskawica jak złotym
mieczem rozkroiła
niebo, chmury się rozbiegły, i drugi raz w życiu ujrzałem
otwarte niebiosy.
Teraz przypomniałem sobie, co mówią ludzie, że jak Bóg
Wszechmocny dozwoli komu
to cudo oglądać, to o coby tylko w tej chwili poprosił,
otrzyma. Zacząłem więc
wołać ze łkaniem: Boże zlituj się nad Zonią! Boże zlituj się
nad Zonią!.... I
niebo się znowu zamknęło, znów stało się ciemno jak w
grobie dokoła, tylko na

mogile gorzał krzyż płomieniem i klęczały dwa jasne duchy
pochylone nademną.
Kiedy ja patrzę, aż to nieboszczyk pan z panią.... chciałem się
porwać na nogi,
ale nie mogłem z wielkiego bólu. Zacząłem płakać i ręce ich
całować
zakrwawionymi ustami. I oni płakali, a łzy ich padały na moją
głowę; a gdzie
która padła na krwawą ranę, to taką ulgę zrobiła, jakby
czarodziejska owa woda
życia. Pani zdjęła z swych ramion śnieżną chuścinkę i
obwiązała nią moją
pokaleczoną gło-

wę. Potem oboje ucałowali mnie w czoło, i znikły niebieskie
duchy."

"Odżyłem, spojrzałem: tylko co zaczynało na brzask się
zabierać, a było ciemniej
niż zwykle o tej porze, bo wszystkie chmurzyska na wschód
się zsunęły i
nieruchome leżały, jak świeża, czarna, ogromna mogiła na
pobojowisku. Po drodze
mimo cmentarza, pomykał się jakiś bogaty powóz, i zdało mi
się, że ktoś przez
okno spoglądał na mnie. A od mojej głowy taki się zapach
rozchodził, jakby od
rajskich kwiateczków, wziąłem się ręką za nią i spostrzegłem,
że była obwiązana
chuścinką. Wtedy przypomniałem sobie i niebiosy otwarte, i
duchy państwa, i

gniew panicza, i zuchwalstwo moje; bo rany już mię nie
bolały nic a nic.
Pomodliłem się gorąco na mogile i pociągnąłem do chaty."
"Ledwie uszedłem kilkadziesiąt kroków, kiedy mię nagle
uderzył w oczy bury słup
dymu, wznoszący się z dworskiego toku. Aż w piersiach mię
ścisnęło od strachu,
bom poznał, co się to znaczy. Dniem przedtem, przychodził
do mnie Iwan Basista
płacząc i przeklinając panicza. Miał on jedynaczkę kraśną
dziewuchę, zaswatał ją
z poczciwym chłopakiem, synem bogatego gospodarza, i w
przyszłą niedzielę mieli
już stanąć pod wiankiem. Lecz panicz skrzywdził Jeudoszkę,
chłopiec jej się
wyrzekł, a ona biedna rzuciła się w rzekę z sromoty. Iwan był
twardego serca i
straszny w gniewie. Przyznał się przedemną, że krzywdy i
śmierci swojego dziecka
nie podaruje paniczowi. — Niech go Bóg pobije, mówił — ja
rąk swych nie skalam w
jego krwi nieczystej, ale mu z dymem puszcę wszystkie jego
sterty, to i sobie
pociechę sprawię, i całej włości lżej będzie — nie tyle pracy.
Ja go prosiłem,
ja go zaklinałem, żeby zaniechał szalonej myśli; groziłem mu i
karą ludzką i
gniewem Bożym; on milczał jak skała, i z czarną dumą na
czole rozstał się ze
mną."

"To jak dym z toku spostrzegłem, zgadłem co to się dzieje. I nie czując bólu i znużenia, przez niwę, przez jary, jak kula biegłem w tę stronę. Chwała Ci Boże! myślałem, przybiegłem w porę. Jeszcze płomień nie buchnął, sam ogień zagaszę, i nikt się niczego nie domyśli. I nierozumny, zacząłem wyrywać tlejące snopki, deptać je nogami, i krwawiąc i parząc ręce, przyduszać piaskiem coraz się bardziej zajmującą stertę... napróżno!... a tu jeszcze i wiatr przyskoczył... cały tok objął się płomieniem. Rzuciłem się czem prędzej do wsi, by ludzi na ratunek zwołać, i nie zważając na tlejące na mnie odzienie, ostatnich sił dobywając, biegłem przez pole."

"W ślad za mną czterech konnych pędziło, — dogнали. Stój! stój! krzyknęli; zeskoczyli z koni, wpadli na mnie gwałtownie, porwali i skrepowali powrozem. Był między nimi i panicz. Poznawszy mnie, krzyknął: a to ty, szelmo! buntowniku ! to to ty mnie sterty podpalasz! I w gniewie znowu mię zaczął nahajką okładać bez miłosierdzia."

"Wiedziałem co to ma znaczyć. — Bijcie mnie już panie rzekłem, ale posyłajcie do wsi, niech ludzie idą ratować. Uderzył mnie jeszcze z dziesięć razy, a potem krzyknął na dwóch konnych, żeby biegli do wsi i nahajkami pędzili gromadę na

ratunek, a trzeciemu kazał mnie zaciągnąć na tok, i sam jechał przy mnie."

"Na toku ani żywej duszy nie było, a ogień bujał i buszował i aż pod niebo rosnął

wysokim słupem.... Przybiegł posłaniec ze wsi zadyszany cały: — Jaśnie panie!

zawołał, nikt na ratunek iść nie chce, i jeszcze mówią, chwała Panu Bogu! —

Bestje! krzyknął panicz, ja ich nauczę!... Wziąć jeszcze kilku kozaków, i z

nahajkami obejść wszystkie chaty, bić choćby na śmierć łajdaków. — Kiedyż bo

mówią, od-

powiedział posłaniec, że choćbyśmy ich chcieli i pozabijać, to nie pójdą,"

"Panicz z gniewu i żalu aż włosy rwał sobie z głowy, a ja stojąc zdała jak

przypomniałem sobie dzisiejszą nockę i duchy miłoserdnych państwa, tak mi się

potokiem łzy z oczu puściły, z litości nad ich obłąkanem dzieckiem.... I

plakałem, plakałem!... zdawało się, że i duszę wypłaczę. — Jaśnie panie! odezwał

się któryś z konnych, niech jaśnie pan rozkaże Koźmie, żeby zwołał gromadę, to

może jego posłucha, bo on całą wioską trzęsie. — Kiedyż to on szelma podpalił!

krzyknął panicz, i przyskoczywszy do mnie zaczął bić znowu bez litości, a ja

tylko wołałem: panie miłościwy! jam nie winien! jam nie winien!"

"Nabiwszy się do woli, znowu krzyknął panicz, żebym szedł gromadę wołać na ratunek. Dwaj konni wzięli mię pomiędzy siebie i na powrozie zaprowadzili do wsi, a ciągnąc ulicą od chaty do chaty, kazali bym namawiał ludzi iść pożar gasić. Zrobiłbym to i bez rozkazu, tyłkoby mię lepiej posłuchali. A to, jak obaczyli żem skrepowany i zbity, tak ledwiem ich uprosił, umodlił, żeby przewodnikom moim nic nie robili złego. Wyskoczył i Janko z Zonią, a zobaczywszy co ze mną się działo, zaczął wykrzykiwać groźnie i gromadę wołać do siebie, i ledwie nieledwie go ująłem, a Zonia biedna prosto obumarła z żalu i ludzie już ją do chaty zanieśli. A do pożaru nikt ani jednym nie postąpił krokiem, i cały tok zgorzał ze szczętem, i ani jeden kłosek nie ocalał, ani jedno ziarko."

"Nazajutrz panicz wezwał policją i z żołnierzami na poddanych swoich, co jego ojca bat'kiem nazywali, a sami dziećmi mu byli. I przyjechali i karali strasznie, a mnie zakuli w kajdany i sądzić mieli. Ciągnęli doprosy; ja im powiedziałem, że podpiwszy sobie zanocowałem na cmentarzu,

a wytrzeźwiwszy się przededniem, wracałem do domu, i spostrzegłszy ogień na toku, rzuciłem się ratować. Potem obaczywszy że sam nie dam rady, pobiegłem wołać gromadę na pomoc, a konni mnie dognali i wzięli. Nikt mi nie wierzył, bo jeszcze znaleźli przy mnie kaletę z całym przyborem do ognia.... Nie chciałem wydać Iwana, bo i któż zresztą mógł wiedzieć na pewno, czy on to ogień podłożył, kiedy włość cała gniewem płonęła?... i już gotów byłem sam głową nałożyć."

"Janko i Zonia, a z niemi kilku starszych gospodarzy nieodstępnie błagali sędziów, by mnie uwolnili, pod przysięgą świadcząc, że jestem niewinny; ależ kiedy wszystko świadczyło inaczej, i panicz gotów był przysiąc, że ja go podpaliłem. Byłoby po mnie, ale kiedy już mieli odesłać mnie do miejskiej turmy, zjawił się Iwan i sam się przyznał. Mój Boże! co też on tam powiedział przed sędziami na panicza, aż włosy wstają na głowie, jak przypominę sobie.... Ej nierozumny! co przybyło jemu z jego zemsty całej? i duszę i ciało zgubił, a paniczowi i włos z głowy nie spadł."

"Ot mnie i uwolnili, przeleżałem ze trzy niedzieli, i oczuniałem znowu. Przez ten czas panicz jakoś był dał nam pokój, a potem i znowu zaczął najeżdzać. Ja znosiłem cierpliwie, bo cóż poradzić miałem? ale biedny Janko nie wytrzymał."

Baz panicz przyjechał i jego tylko samego w naszej chacie
zastał..... Jakem ja
wrócił, Janko mi się przyznał, że pogroził paniczowi, że mu
śmierć zrobi, jak
nie przestanie napastować Zoni, i że panicz nastraszywszy się
bardzo, (bo
zbielał jak płótno) obiecał dać już jej pokój. — O nierozumny!
krzyknąłem
pięściami uderzywszy się w głowę i obumierając z żalu...."
"Nazajutrz najemne sługi panicza napadły na naszą chatę,
zakuły Janka w
kajdany i poprowadziły do dworu

mówiąc, że go w rekruty oddadzą. Cała gromada jak na gwałt
się zbiegła, i
groźnie zaciskając kułaki, chciała się rzucić i odbić Janka.
Żebym choć słówko
powiedział, miałby robotę panicz. Ale nie, zacząłem ich
prosić, żeby nie robili
bezprawia, że sam ja pójdę z pokłonem, to może uproszę
panicza."
"Poszedłem, padłem mu do nóg, płakałem i modliłem się, jak
do Pana Boga — nic
nie pomogło. Zakrzyczał, że Janko szelma, buntownik; nogą
mnie w głowę uderzył i
precz jak psa wypędził. Płacząc powlokłem się do domu, a on
przez okno krzyknął:
Zonia go może wyprosić!"
"Jak Janka brali, Zoni nie było w domu: przyszła już
bezemnie, i jak się

dowiedziała od ludzi o wszystkim, rzuciła się zaraz do
dworu. Spotkałem ją
wracając, i siłą odprowadziwszy do chaty, uprosiłem sąsiadów
by jej nie
wypuszczali, a sam zabrawszy do worka całe bogactwo swoje,
ze trzy garnce
srebra, zarzuciłem na plecy i poszedłem znowu do panicza.
Znowu padłem mu do
nóg, i błagając by przyjął okup za jedynaka mojego, znowu się
modliłem jak do
Pana Boga. Ej dobry panie, wstyd i powiedzieć... za pieniądze
się zgodził, jakby
żyd jaki.... Oddał mi klucze i od turmy gdzie Janko siedział, i
od kajdanów
jego. Pobieglem płacząc z radości.... O czemuż mi raczej nie
rozbił nogami mej
nieszczęsnej głowy!..."
Tu łkania głos mu przerwały, i długa upłynęła chwila, nim
wrócił do swej
powieści.
"Przybiegłem do drzwi więzienia, a ręce mi się tak trzęsły z
radości, że ledwie
nie ledwie trafiłem kluczem do zamka... Otworzyłem,
wbiegłem i padłem bez duszy
na trup mojego dziecka...."
"Dalej już nie wiem co się ze mną działo, bo dusza we mnie
zamarła z
boleści!..."

"Odżyła pod katowskim knutem, przed tysiącami narodu, wśród
rynku.... Zagrzmiały

barabany, knut świsnął, i od stóp do głowy ostry ból mnie
przeszył, a lud
tłocząc się wkoło, szeptał: syna zabił! syna swego zabił! I
posłyszałem te
szepty straszliwe. pomimo grzmotu barabanów i świstu knuta,
i już nie czułem
bolu padającego w kawałki ciała, bo serce srożej bolało, bom
wszystko sobie
przypomniał."
"Jak tylko wyleczyli mię z knuta, tak zaraz i wysłali w drogę.
Bóg miłosierdny
nie rzucił mnie bez pociechy. Droga szła przez naszą wioskę,
miałem więc
nadzieję że spotkam kogoś, co mi o Zoni powie. Może o
werstę ode wsi, na
rozstajnych drogach spostrzegłem z daleka usypaną mogiłę,
której nie było
dawniej, i jakąś ludzką postać na mogile. Cóż serce mię tknęło
i żwawiej
poszedłem. Zbliżyłem się... na mogile siedziała biedna kaleka,
z twarzą
wykrzywioną, z rękami i nogami strasznie połamanymi.
Spostrzegłszy mnie, z
krzykiem potoczyła mi się pod nogi, zaczęła wołać po imieniu
i płakać, i stopy i
kajdany moje całować... Po głosie poznałem... to była Zonia!...
i serce krajało
się we mnie, jak niegdyś ciało pod knutem; bo przykuty do
jakiegoś zbójcy, nie
mogłem nawet podnieść drogiej Zoni, do serca przytulić,
uścisnąć a ucałować...
Zacząłem prosić żołnierzy, by mię chociaż na mogiłę
wprowadzili, i litościwie

usłuchali prośby. Ukląknęłam, i syra ziemię całując i zlewając łzami, długo a długo z mogiłą gadałam. Oj! czemu Bóg wszechmocny nie dozwolił mi już tam na wieki zostać!... O biedny! biedny mój Janku! to oni ci nawet na święconej ziemi mogiły nie dali!... Za cóż cię wyrzucili na rozstajne drogi, jak nieczyste zwierzę?! Czyżeś nie chwalił Boga? czyżeś nie miłował ludzi? czyżeś skrzywdził kogo na świecie? Za cóż cię Janku mój drogi, za co wyrzu-

cili tutaj?!... Oj nie było mnie wtedy! jaby cię ratowałam... Poszedłbym a padłbym do nóg Dobrodziejowi naszemu, powiedziałbym mu: ojcze! zlituj się nad moim dzieckiem! tyżeś je ochrzcił, tyżeś je i Boga chwalić i ludzi miłować nauczył, tyżeś je co rok spowiadał, to znasz jego duszeczkę jak swoją, za cóż je odsądzasz od święconej ziemi?! Za cóż kości jego mają próchnieć w polu, jak kości bydłące, zdala od braci, zdala od rodziny drogiej?... A Dobrodziej nasz taki dobry, taki miłosierdny, tak kochał mojego Janka, onby nie pożalował ani modlitwy, ani cmentarnej ziemi dla niego." "Nareszcie żołnierze w drogę mi iść kazali. Gwałtem mię oderwali od mogiły Janka... ledwie mogłam schwycić garsteczkę ziemi — Święta ta ziemia, droga

rodzinna ziemia, z mogiły jedyne­go dziec­ka... (i wzięwszy
wiszący na szyi
woreczek, ucałował go ze łzami) gwałtem oderwali drogą
Zonię odemnie, i dalej!
dalej!... Lecz we wsi znowu wysypała się cała gromada, i nie
zważając na
żołnierzy, każdy się rzucał do mnie na szyję, płacząc i
żegnając i o
błogosławieństwo prosząc, jak ojca..."
"Oni to mnie opowiedzieli, co się ze mną działo. Znalezione
mnie bez duszy na
trupie Janka, przyczepiłem się do niego tak mocno, że ledwie
mnie oderwać mogli;
lecz pierw­iej panicz sprowadził świadków, i obumarłego kazał
mnie zakuć w
kajdany, jako dzieciobójcę!... Bo Janko miał roztrzaskaną
głowę... pewno ją z
żału rozbił o mur więzienia, bo mózgiem i krwią był
obryzgany."
"Nie wiedzieli ludzie i ja sam nie wiem, jak mnie sądzili, co ja
na doprosy
prawiłem; osadzili, bo widać były dowody niezbite..... Zonia
biedaczka
dowiedziawszy się o śmierci Janka, rzuciła się w wodę pod
upust, koło ją porwało
i pogruchotało... Dobrzy ludzie z wody wyciągnęli i
wyleczyli. To wzięła torby
żebracze i siadła na

mogile Janka, niby to ludzi o chleb powszedni prosić w Imię
Boga. Nie

pożałowałyby go nikt we wsi dla mojej sierotki, nawet Dobrodziej chciał ją wziąć do siebie, ale nikt nie chciał serca jej krwawić, od mogiły ją odrywając."

"Biedna Zonio moja! wysłucha! mię Pan Bóg, kiedym Go błagał przed otwartem niebem, by się zlitował nad tobą! obronił cię od złego panicza, ale jak obronił, ptaszko moja droga!... Nie dziw że krwawo twoja gwiazdka świeci!... Me długo poświeci, lada dzień, a Boży anioł strząśnie ją swem skrzydłem z niebiosów, jak ptaszek kropelkę rosy z niezabudki; ale już i mojej nie świecić wtedy! "

r. Czerwca Dzuryn.